



TIM WEAVER

TO, CO
ZOSTAJE

ODESZLI, ALE NIE ZOSTALI ZAPOMNIANI

ALBATROS

1

Spotkałem się z Healym w motelu w Kew.

Przysadzisty, stalowoszary budynek w estetyce kontenera stał kawałek na północ od autostrady, świecąc w oczy dwoma długimi rzędami identycznych okien. Parking był w połowie wypełniony, chodniki i drogi dojazdowe pokryte warstwą brudnego, na wpół roztopionego śniegu, a z dziurawej rynny nad głównym wejściem ciekł strumień lodowato zimnej wody.

Motelowy bar był chyba najsympatyczniejszym fragmentem całości i nie tylko dlatego, że dzięki wypitemu alkoholowi można było sobie wyobrażać, że jest się gdzie indziej. Sprawiał wrażenie niedawno odnowionego i choć z okna widać było tylko parking i połyskującą w oddali Tamizę, wewnątrz urządzono nowocześnie i ze smakiem – zaokrąglony kontuar otaczały ciągnące się półkolem boksy z miękkimi kanapami.

Ruszyłem w stronę jednego z nich, po drodze zdjąłem płaszcz i zamówiłem czarną kawę. Usiadłem, rozłożyłem na stoliku plik przyniesionych wydruków i zacząłem je przeglądać. Wszystkie zawierały oferty pracy. Ułożyłem je chronologicznie w dwóch rzędach po pięć, od najstarszych do najnowszych.

Po kilku minutach skrzypnęły drzwi wejściowe i do skromnie oświetlonego wnętrza wszedł Healy. Dojrzał mnie, kiwnął głową i podszedł do baru. Był ubrany w spłowiałe płócien-

ne spodnie i czerwony T-shirt z jakimś napisem na piersiach, włosy miał przylizane, a twarz zarumienioną, jakby dopiero co wziął gorący prysznic. Zamówił przy barze dietetyczną colę, po czym odwrócił się i podszedł do mojego boksu. Spojrzał na rozłożone wydruki i bez słowa usiadł naprzeciwko mnie.

– Dobry wieczór – powiedziałem. – Dobrze się czujesz?

– Chyba tak.

– A co jest nie tak?

Popatrzył na mnie.

– Nic. Wszystko dobrze.

Oczywiście wiedziałem, co jest nie tak. Obaj to wiedzieliśmy.

Sześć dni wcześniej, ósmego stycznia, widzieliśmy się w kafejce w Hammersmith po tym, jak zadzwonił i zaproponował spotkanie. Zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy od czterech miesięcy. W ciągu tych sześciu dni dużo się wydarzyło. Nie tylko opłaciłem mu dziesięciodniowy pobyt w motelu, ale nabiłem też jego kartę Oyster* i wręczyłem dość gotówki na benzynę, by mógł krążyć między biurami pośrednictwa pracy, a do paru osobiście go zawiozłem. Wstąpiłem też z nim do kilku sklepów, by kupić mu coś do jedzenia. Widać było, jak bardzo go to krępuje – mnie zresztą na swój sposób też – ale Healy znalazł się sytuacji, w której nie miał większego wyboru.

Przestał istnieć dla swojej rodziny, jego policyjna kariera należała do przeszłości, oszczędności prawie całe się rozeszły i mieszkał w przytułku dla bezdomnych, gdzie żałosne resztki pieniędzy wystarczały mu na opłacenie materaca, poduszki i pryczy. Nikt – ani jego była żona, ani synowie, ani dawni koledzy z Policji Metropolitalnej – nie wiedział, jak nisko się stoczył, bo był zbyt dumny i zbyt dobity, by do nich zadzwonić.

*Oyster Card – karta uprawniająca do korzystania ze wszystkich środków komunikacji miejskiej na terenie Londynu.

nić. Ale ze mną było trochę inaczej. Właściwie nie byliśmy przyjaciółmi, ani teraz, ani wcześniej – pewnie dlatego zdobył się na ten telefon – coś nas jednak łączyło. Wiedział, że go rozumiem. I co ważniejsze, wiedział, że nie będę go osądzał. Obaj straciliśmy ukochane osoby i walczyliśmy z podobnymi demonami, polowaliśmy w takich samym ciemnościach na podobnych ludzi i mieliśmy taki sam problem ze zrozumieniem ich postępowania. Nigdy nie wierzyłem w fatum czy przeznaczenie – właściwie nadal w nie nie wierzę – lecz wieloletnia znajomość z Healem spowodowała, że zacząłem inaczej patrzeć na te sprawy. Nasze drogi wielokrotnie się rozchodziły, ale jakimś dziwnym zrządzeniem losu zawsze w końcu spotykaliśmy się w tym samym punkcie.

– Czego dotyczą? – spytał, przenosząc wzrok na rozłożone wydruki.

– Zleceń na ochronę sklepową.

Kiwnął głową i przesunął kilka kartek bliżej siebie.

Na szyi miał krwawą wysypkę po goleniu, na podbródku widać było kropelki niezaschniętej krwi. Skaleczenia, które jeszcze się nie zasklepiły. Skaleczeń było znacznie więcej, ale wielu z nich nie było widać. Miał prawie czterdzieści dziewięć lat, wyglądał jednak o wiele starszej. Miał też niemałą nadwagę i był w złej kondycji fizycznej – twarz napuchnięta, a siateczka zmarszczek wokół oczu tak gęsta, że trudno się było zorientować, gdzie się kończy jedna kreska i zaczyna następna. Na czoło opadły mu kosmyki rudych włosów, skrapiając kartki kropelkami wody. Teraz dało się już odczytać napis na jego T-shircie. CHŁOPCY W TRASIE – DUBLIN 07.

– Jakiś pamiętny wyjazd? – spytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

– Co?

Wskazałem głową napis na jego piersi.

Spojrzał na litery, spękane i zatarte od wielokrotnego prania.

– No – mruknął jakby w zadumie. – Byłem czymśś drużbą. Zabrałem całą bandę na parę dni do ojczyzny. – Twarz rozjaśnił mu uśmiech, który zaraz zniknął. – To były inne czasy.

Popatrzył z powrotem na wydruki. Najwyraźniej nie zamierzał zatapiać się we wspomnieniach z miasta, w którym urodził się i dorastał.

– A jak ci poszła dzisiejsza rozmowa w sprawie pracy?

– Kto ich tam wie. – Wzruszył ramionami.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że pojechałem aż do Rotherhithe, usiadłem i odpowiedziałem na wszystkie ich pytania, a oni tylko mi się przyglądali i na koniec powiedzieli, że dadzą znać.

– Powiedzieli kiedy?

– Za parę dni.

Barman przyniósł dietetyczną colę i postawił szklankę przed Healym, który w milczeniu się w nią wpatrzył. Nie musiał nic mówić, by było wiadomo, co myśli. „Nie tego chciałbym się napić”.

Gdy zaoferowałem mu swoją pomoc, postawiłem jednocześnie kilka warunków. Jednym z nich było znalezienie jakiegokolwiek pracy, choćby dorywczej, by mógł jak najszybciej stanąć finansowo na nogi; inny dotyczył picia. W trakcie tamtego spotkania w kafejce nie czułem od niego alkoholu, ale wiedziałem, że miewał ciągi, podczas których całymi tygodniami nie rozstawał się z butelką. Zresztą widać to było po jego twarzy. Skórę miał obwisłą i poorly, oczy podkrążone i zaczerwienione. Alkohol zmienia rysy i wyraz twarzy.

– A co z tą drugą sprawą? – zapytał.

– Jaką drugą sprawą?

– Z tymi bliźniaczkami.

Spojrzałem w okno. Dalekie światelka na rzece z trudem przebijały się przez mżawkę ze śniegiem. Z bliźniaczkami i ich matką, od których wszystko się zaczęło. Przyspieszyły upadek Healy’ego. W lipcu 2010 roku to on wszedł do ich

mieszkania w południowym Londynie i znalazł całą trójkę. Wszedł tam jako jeden z najlepszych śledczych stołecznej policji, a teraz, trzy i pół roku później, był bezdomnym alkoholiczkiem, opłakującym rozpad swojego małżeństwa i rodziny oraz koniec kariery zawodowej. Nie zadzwonił do mnie te sześć dni temu, żeby spytać, co u mnie słychać. I nawet nie dlatego, że był bez grosza, bez pracy, bez domu i na dnie upodlenia. Zadzwonił, bym mu pomógł znaleźć tego, kto zamordował tę trzysobową rodzinę. Nieuchwytnego zabójcę, od którego wszystko się zaczęło.

Poza tą sprawą nic więcej się dla niego nie liczyło.

Myśląc o jego pościgu za sprawcą, odtworzyłem w pamięci słowa, jakie wypowiedział wtedy w kafejce w Hammersmith: *Nie mogłem znaleźć ich mordercy, nie mogłem nigdzie natrafić choćby na ślad tego drania. I od tego czasu wszystko w moim życiu zaczęło się walić.* Powiedział to urywanym głosem, w jego oczach zaszklily się łzy. *A teraz spójrz na mnie. Mieszkam w przytułku dla bezdomnych. Jestem żalorny.*

– Raker, co z tymi bliźniaczkami?

Poprawiłem się na siedzeniu i wróciłem myślami do teraźniejszości. Healy przesunął szklankę z colą, pochylił się nad stolikiem i złożył razem dłonie.

– Mój człowiek w Metropolitalnej ma mi przysłać kopie akt – powiedziałem. – Powinienem je jutro dostać. Ale przedtem muszę zakończyć bieżącą sprawę.

Zajmuję się zawodowo szukaniem zaginionych i moją bieżącą sprawą była szesnastolatka z Greenwich, która uciekła z domu. Odnalazłem ją i zwróciłem rodzicom, ale zostało jeszcze parę spraw do wykończenia: powiadomienie Policji Metropolitalnej, że została znaleziona, oraz spotkanie z rodziną i odpowiedzenie na ich pytania. Nie mówiąc o spisaniu końcowego protokołu i zainkasowaniu honorarium. Czasami dopuszczam do tego, by początek nowej sprawy nakładał się na koniec poprzedniej, nigdy jednak nie prowadzę dwóch spraw

równolegle, bo uważam, że każda zasługuje na taką samą uwagę i zaangażowanie z mojej strony. Zawsze czuję więź z zaginionymi. Emocjonalne powinowactwo, którego chyba nie umiałbym ubrać w słowa. I dlatego zaginiona nastolatka była dla mnie dokładnie tak samo ważna jak Healy. Nie wspominając o praktycznym aspekcie sprawy: jej rodzina mi płaciła.

Inaczej niż w przypadku Healy'ego – wszystko, co dla niego zrobiłem i być może jeszcze kiedyś zrobię, nie tylko nie wiązało się z żadną rekompensatą finansową, ale także nie łączyło się ani z zapewnieniami o wdzięczności, ani nawet ze zwykłym podziękowaniem. Pogodziłem się jednak z tym już dawno, zaakceptowałem go takiego, jaki jest, i uznałem siły, które nim kierują, ponieważ wiele jego cech odnajdywałem też w sobie. Byliśmy sobie przypisani. Kiedyś uratowałem mu życie, kiedyś on uratował życie mnie.

Tak to się między nami plotło.

– I chcesz siedzieć w tych papierach tak długo, aż uznasz, że jesteś gotów? – burknął.

– Jak mogę siedzieć w czymś, czego jeszcze nie mam?

Twarz wykrzywił mu grymas złości.

– Healy, powiedziałem ci dokładnie, jak sprawy stoją, już tydzień temu.

Nie zareagował i tylko jego palce zaczęły wystukiwać rytm na szklance.

– Dobrze – odezwał się po dłuższej chwili. – To przekaż mi te akta, jak tylko je dostaniesz. Zacznę sam.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Niepotrzebna mi niańka, Raker.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej.

– Tej sprawy nikt nie zna lepiej ode mnie.

– Wiem.

– Ja w tym siedziałem. To była moja sprawa.

– Właśnie dlatego przyda się świeże spojrzenie.

Nic więcej już nie dodał i zapadła cisza.

Zacząłem ponownie przeglądać wydruki, kombinując, jak najsprytniej wzbudzić w nim zainteresowanie tymi ofertami, jednak gdy znów na niego spojrzałem, jego wzrok nie spoczywał ani na mnie, ani na wydrukach. Patrzył w okno, przyglądając się samochodowi wyjeżdżającemu z parkingu. Jego spojrzenie stało się nieobecne, jakby zapomniał o mojej obecności.

A potem usłyszałem jego cichy, monotonny głos, jak gdyby mówił do siebie.

– Ukląkłem między ich łózkami w ich cholernym pokoju i z ich martwą mamą w sypialni obok. Pamiętam, że ekipa wyszła i zostawiła mnie na chwilę samego z dziewczynkami, takimi odartymi z resztki niewinności, i wtedy... ja wtedy...

Przestał mówić, a ja nie mogłem oderwać od niego wzroku, zaskoczony tą nieoczekiwaną otwartością. Było to zachowanie tak dla niego nietypowe, że w pierwszej chwili pomyślałem, że może coś mu jest. Słyszając, jak niedokończone zdanie zamiera mu na ustach, pochyliłem się, by go lepiej rozumieć, on jednak jakby coś w sobie przełączył. Otrząsnął się z odrętwienia, jego nastrój uległ gwałtownej zmianie. Odwrócił wzrok od okna, spojrzał na mnie i zaraz potem na rozłożone wydruki z ofertami pracy. Wyglądał na zawstydzonego chwilowym opuszczeniem gardy.

– Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedział, wpatrywał się uparcie w stolik.

– Posłuchaj – rzuciłem głosem pozbawionym emocji. – Obiecałem, że ci pomogę, i chcę to zrobić. Ale muszę najpierw sam się temu przyjrzeć. Chcę do tego podejść ze świeżą głową. Nie próbuję nic kombinować za twoimi plecami, Healy. Nie dopatruj się złych intencji.

Prychnął, ale nic nie powiedział.

– Healy? O co chodzi?

– A jak myślisz, o co może chodzić? – burknął, biorąc do ręki jeden z wydruków. – O to całe gówno. O te bezwartości-

we szpargały. Liczy się tylko to, kto zamordował te dziewczynki.

– Musisz znaleźć sobie jakąś pracę.

Machnął lekceważąco ręką.

– Nienawidzę tego. Wypełniania formularzy, udawania, że jestem kimś, kim nie jestem, lizania zadków ludziom, których nie cenię i których nigdy nie polubię. Ale wiesz, co ci powiem? To nawet nie w tym rzecz. Najbardziej wkurwia mnie to, że mógłbym te wszystkie prace wykonywać z zamkniętymi oczami. Służyłem w policji dwadzieścia sześć lat i w tym czasie widziałem rzeczy, od których już nigdy się nie uwolnię. Stykałem się z ludźmi tak zdeprawowanymi, że wysysali całe światło z otoczenia. Ale z odmów, jakie dostaję, wynika, że nie nadaję się nawet do sterczenia między regałami sklepowymi i pilnowania, żeby jakieś pryszczate gnojki nie kradły smartfonów. To, że w ciągu roku zostałem jeden, jedyny raz zaangażowany jako ochroniarz w sklepie, powinno ci wszystko mówić. To nie działa, Raker. Nikt nie chce mnie zatrudniać.

– Znalezienie pracy w dzisiejszych czasach nie jest takie łatwe...

– Ja nie chcę żadnej pracy.

Opanowałem wybuch złości.

– To jak pomożesz tym dziewczynkom, jeśli wrócisz do przytułku dla bezdomnych?

– Pomogę im, jak znajdę tego, kto je zabił.

– Znajdziemy go.

– Nie znajdziemy, jeśli będziemy tak siedzieć i tracić czas na tego rodzaju śmieci. – Wziął do ręki kolejne wydruki. – Jakby mnie to gówno cokolwiek obchodziło.

– Healy, jak znajdziesz sobie pracę, to zaczniesz zarabiać. Jak będziesz miał pieniądze, to będziesz mógł gdzieś zamieszkać. Jak będziesz miał gdzie mieszkać, to będziesz miał punkt wyjścia do działania. Jeśli chcesz zrobić to, co najlepsze dla dziewczynek i ich matki, jeśli naprawdę tego chcesz, to zgłoś

się w każdym z tych miejsc i zrób wszystko, żeby w jednym z nich cię przyjęli.

Siedział wpatrzony we mnie ze zmartwiałą twarzą, masując palcami klatkę piersiową w miejscu, gdzie chyba coś go bolało.

– Coś cię boli? – spytałem.

– Nie, nic.

Domyślił się, że mówię o jego klatce piersiowej.

– Po prostu roześlij na te adresy swoje CV, dobrze?

Brak reakcji. Założyłem mu przecież konto poczty elektronicznej, a z komputera mógł skorzystać w centrum biznesowym w motelu. Żaden problem.

– Dobrze? – powtórzyłem.

Milczenie.

– Healy? – Westchnąłem.

– Kiedy zakończysz tamtą sprawę?

– Jutro po południu.

Odjął rękę od klatki piersiowej i zaczął gmerać w wydrukach na stoliku. W końcu zebrał je wszystkie razem i przesunął się na koniec kanapy.

– Jutro o trzeciej jestem umówiony w biurze pośrednictwa – powiedział. – Ale jak chcesz, to możemy się tu później spotkać. Mogłbyś przynieść te akta i moglibyśmy porozmawiać.

Kiwnąłem głową.

– Przyniesiesz je?

– Jeśli je doślą.

– Nie baw się mną.

– Nie bawię się tobą, Healy.

Wysunął się z boksu, nie odrywając ode mnie wzroku. Tym razem trudniej jednak było wyczytać coś z jego spojrzenia i twarzy pozbawionej wyrazu. Przy drzwiach na moment się zawahał i popatrzył na mnie wzrokiem człowieka samotnego.

Chwilę później już go nie było.

2

Nie zawsze tak to wyglądało.

Dzień wcześniej, po rozmowie z moim człowiekiem w Metropolitalnej w sprawie akt zabójstwa, pobuszowałem trochę w Google'u, chcąc dowiedzieć się o Healym czegoś więcej z okresu, zanim wszystko mu się zawaliło. Poznaliśmy się w 2011 roku, gdy jego życie było już w rozsypce, i w zasadzie znałem go tylko takiego, jakim był teraz. Ale kiedyś wyglądało to zupełnie inaczej. Przed zamordowaniem bliźniaczek był pewnym siebie człowiekiem sukcesu.

Wtedy nikt w nim nie widział nieudacznika.

Wręcz przeciwnie.

Natknąłem się na jego liczne wypowiedzi o sprawach, które prowadził, rozwiązywał i zamykał. Sięgając jeszcze głębiej, dowiedziałem się, że w 2005 roku przyznano mu Policyjny Medal za Odagę – o czym nigdy nie wspominał – za to, że nie będąc na służbie, udaremnił napad z bronią w rękę. Znalazłem też jego zdjęcie z 2008 roku – sprzed sprawy bliźniaczek, rozpadu jego małżeństwa i tragicznej śmierci córki – kiedy był najgrubszy. Miał wtedy ze dwadzieścia kilogramów nadwagi, może nawet więcej. Twarz nalaną, policzki przekrwione, z kołnierzyka koszuli wylewały się fałdy zbędnej skóry, a mimo to biła od niego trudna do zdefiniowania i jeszcze trudniejsza do pojęcia pewność siebie, sprawność i siła. Zdjęcie nie było

pozowane i wszystkie te cechy zostały w sposób naturalny uchwycone i utrwalone przez obiektyw aparatu.

Patrząc na fotografię, zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że sprawa bliźniaczek trafiła właśnie do niego. Czy zlecono mu ją z uwagi na świetną reputację, a jego szef wiedział, że Healy zrobi dla tej rodziny wszystko, co możliwe? Czy może po prostu był pod ręką lub sam w biurze? Jeśli prawdą było to drugie, musiał ten moment przetrwać w myślach niezliczoną ilość razy. Co by było, gdyby nie mógł zająć się tą sprawą, bo akurat byłby zajęty czymś innym? Jak wtedy potoczyłoby się jego życie? Tak czy inaczej, jedno było pewne: Policja Metropolitalna nie miała żadnych wątpliwości co do jego kompetencji i oczekiwano, że i tę sprawę szybko rozwiąże i zamknie.

W końcu natrafiłem na materiały medialne z wieczoru, gdy zamordowano bliźniaczki i ich matkę. Nawet w suchej wersji gazetowej trudno było pogodzić się ze szczegółami tego zdarzenia i czytając relacje, czułem ogarniającą mnie odrazę, złość i coś w rodzaju solidarności z Healym. Jakbym podświadomie odczuwał to co on, gdy został sam na sam z ciałami dziewczynek, klęcząc między ich łózkami.

Ale dopiero krótki filmik na YouTubie z konferencji prasowej zwołanej przez Healy'ego szesnastego lipca 2010 roku dał mi pełen obraz tego, co się wtedy działo. Relacja zaczynała się od nieco nieostrego wizerunku reportera Sky News, który stojąc na tle znaku Scotland Yardu, wprowadzał widzów w sprawę i opowiadał o rodzinie.

Trzydzieści sekund później za lasem mikrofonów pojawił się Healy.

Ze względu na kamery telewizyjne trochę się odpicował. Włożył szyty na miarę granatowy garnitur i srebrzysty krawat, rude włosy uczesał z równym przedziałkiem na boku. W ciągu dwóch lat, które minęły od czasu zrobienia oglądanego przeze mnie zdjęcia, sporo zrzucił. Ze cztery kilogramy, może nawet

więcej.

Patrząc na niego, uzmysłowiłem sobie, jak bardzo mnie ten jego wizerunek uwiera. Oto miałem przed sobą pewnego siebie zawodowca, ale jednocześnie wiedziałem, że jego życie rodzinne wkrótce legnie w gruzach, a on sam trafi na ulicę jako bezdomny. Słuchając, jak przedstawia siebie i resztę uczestników konferencji i jak zaczyna odczytywać przygotowany komunikat, poczułem coś na kształt żalu, że nie było mi dane poznać tamtej wersji Healy'ego.

Uczucie to towarzyszyło mi, gdy wymieniał nazwiska ofiar i omawiał okoliczności ich śmierci, opisywał miejsce zbrodni i jej brutalność. Po paru minutach odłożył przygotowany tekst i omiótł spojrzeniem tłum reporterów.

– Spróbuję teraz odpowiedzieć na tyle pytań, na ile będę mógł – powiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem. – Proszę jednak pamiętać, że mamy do czynienia z aktualnie prowadzonym śledztwem i nie o wszystkim mogę mówić.

Rozejrzał się po sali, zatrzymał wzrok na kimś spoza kadru kamery Sky News i skinął głową.

– Dlaczego ofiarami ataku była cała rodzina? – spytał dziennikarz.

– Na tym etapie śledztwa zakładamy, że prawdziwym celem była Gail Clark, ale sytuacja jest płynna i wszystko może się jeszcze zmienić.

– Czyli dziewczynki to tylko dodatek?

Healy się skrzywił.

– Nie podoba mi się pański dobór słów.

– A co z ojcem dziewczynek?

Zapadła cisza i przez chwilę słyszać było tylko szum kamer i szelest przesuwających się taśm. Healy na moment zawiesił wzrok na autorze pytania, potem omiótł spojrzeniem całą salę.

– Były mąż Gail i ojciec dziewczynek, Kevin Sims, nie żyje. Zmarł sześć miesięcy po ich narodzinach. W związku z tym nie jest on przedmiotem zainteresowania śledczych, za to

jesteśmy bardzo zainteresowani białym mężczyzną pod czterdziestkę, którego w miesiącach poprzedzających zabójstwo widziano kilkakrotnie w towarzystwie Gail.

– Czy może pan powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie?
Healy znów przez chwilę milczał, jakby zbierał myśli.

– Sądzymy, że może mieć kluczowe znaczenie w wyjaśnieniu tego, co się działo w tygodniu poprzedzającym zabójstwo. Dlatego za waszym pośrednictwem zwracamy się do niego, by pilnie się z nami skontaktował. Z takim samym apelem zwracamy się też do wszystkich, którzy mogą wiedzieć coś istotnego dla przebiegu śledztwa.

– Czy ten mężczyzna był partnerem życiowym Gail?

– Na tym etapie śledztwa nie mogę tego potwierdzić.

– Ale macie już jakichś świadków, tak?

– Tego też w tej chwili nie mogę potwierdzić, ale jak wcześniej wspomniałem, mamy kilka tropów, które rozpracowujemy.

Nic więcej już nie dodał i po chwili kamera powróciła do reportera przed gmachem Scotland Yardu. Pięć sekund później nagranie się skończyło.

Nadal jednak buszowałem w sieci, czytając relacje, jakie ukazały się po konferencji prasowej, i słuchając dodatkowych wypowiedzi Healy’ego. Ich ton stopniowo się zmieniał. Stawały się coraz suchsze i coraz mniej emocjonalne, a kontakty Healy’ego z mediami były coraz rzadsze, by w końcu zupełnie ustać. Chociaż ofiarami były dzieci i choć zginęły one w bulwersujących okolicznościach, trzy miesiące po morderstwie zainteresowanie prasy zaczęło maleć i to tak gwałtownie, że cztery miesiące później trudno było znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o zabójstwie trzyosobowej rodziny.

Zaczął się od konferencji prasowej, która w zamierzeniu Healy’ego miała pomóc w schwytaniu sprawcy, a skończyło kompletną klapą, której towarzyszyło poczucie zawodu i winy. Może nawet ktoś tak doświadczony przez życie jak He-

aly nie był w stanie unieść ciężaru tych zdarzeń. Może to nieuniknione, że wobec tak krwawej zbrodni – dotyczącej dwójki niewinnych dzieci, brutalnie zamordowanych we śnie – człowiek się gubi i nie potrafi się odnaleźć. To musi go zjadać i to stopniowo, kawałek po kawałku.

Poczułem gwałtowny i szczery żal, być może po raz pierwszy od ponownego pojawienia się Healy’ego w moim życiu. Żal z powodu utraty innej, lepszej jego wersji, jego zmarnowanej kariery zawodowej i strasznej śmierci bliźniaczek i ich matki. A także z powodu rozpadu jego rodziny, wywołanego tym, że nie potrafił znaleźć sprawcy tamtego morderstwa. Uczucie to narastało we mnie i powoli zaczęło przeważać nad zniechęceniem wobec postępowania Healy’ego. I wtedy do mnie dotarło, co muszę zrobić.

To co zawsze musiałem.

Musiałem mu pomóc.

3

Dwadzieścia cztery godziny po naszym spotkaniu w motelowym barze zaczął padać śnieg, pędzony od północy potężnymi zwałami chmur, toczącymi się nisko nad dachami.

Rodzinie z Greenwich zwróciłem zaginioną córkę, pożegnałem się i zakończywszy swój udział w sprawie, ruszyłem Blackheath Road na zachód w stronę New Cross. Ruch był duży i światła hamujących przede mną samochodów co chwilę krwawo rozświećlały moją zasypywaną śniegiem szybę, ale gdy już wszystko zaraz miało stanąć w korku, dostrzegłem wreszcie potrzebne mi skrzyżowanie i skręciłem z głównej drogi w Cork Hill Lane.

Chwilę później ucichł hałas dochodzący z New Cross Road, a z wieczornego mroku wyłonił się wiadukt kolejowy z kilkoma łukami, między którymi przebiegała moja droga. Za wiaduktem zaczynało się duże osiedle mieszkaniowe z pięciopiętrowymi blokami i dwudziestopiętrowymi wieżowcami. Zjechałem do krawężnika i zgasilem silnik. Automatycznie wyłączyło się też radio i samochód pogrążył się w martwej ciszy. Wrażenie pustki wzmagał padający śnieg, którego płatki bezszelestnie pokrywały otaczający mnie beton.

Spojrzałem przez ramię na tylne siedzenie. Miałem na nim teczkę z aktami śledztwa, wetkniętą w plastikowe okładki albumu na wizytówki i przewiązaną gumową opaską. Dostar-

czono mi ją w porannej poczcie, ale przez chwilę walczyłem z pokusą, by nie przyznać się do tego Healy'emu i w ten sposób zmobilizować go do uporządkowania sobie życia. Nie zdobyłem się jednak na wykorzystanie tragicznej śmierci trzech osób jako argumentu przetargowego i siedząc w samochodzie kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie je znaleziono, poczułem kolejny przypływ współczucia dla dziewczynek i ich matki, choć tak naprawdę nic o nich nie wiedziałem. A także współczucia dla człowieka, którego ich śmierć tak kompletnie zdruzgotała. Mieliliśmy się za godzinę spotkać w motelu w Kew i omówić wyniki jego wizyt w agencjach pośrednictwa pracy oraz nowe propozycje zatrudnienia, które dla niego zdobyłem. Wiedziałem jednak, że się tym specjalnie nie przejmie, i znajdując się niedaleko miejsca zbrodni, zaczynałem nawet lepiej rozumieć dlaczego.

Po lewej rozciągał się niewielki skwer, wypełniając przestrzeń między sąsiadującymi blokami. Stojące pośrodku huśtawki kołysały się lekko na wietrze. Wszystko wokół – trawnik, huśtawki, purchle na okiennych ramach i spękane dachy – przykryte było warstwą dziewiczego śniegu.

Popatrzyłem na wznoszący się obok mnie wieżowiec.

Searle House popatrzył na mnie.

Mocno podniszczonych dwadzieścia pięter biedy – od czasów jego świetności musiała minąć co najmniej dekada. Na poziomie parteru jedna z odrapanych ścian, niegdyś biała, teraz pokryta była bohomazami graffiti, pod nią rząd kontenerów z wysypującymi się czarnymi workami ze śmieciami. Powróciła do mnie scena z poprzedniego dnia: Healy wpatrzony w motelowy parking za oknem, nagle jakby nieobecny, rozmyślający o momencie, gdy je zobaczył. *Ukląknę między ich łózkami w ich cholernym pokoju i z ich martwą mamą w sypialni obok. Pamiętam, że ekipa śledcza wyszła i zostawiła mnie na chwilę samego z dziewczynkami, takimi odartymi z resztki niewinności, i wtedy... ja wtedy...* Nie dokończył tego,

co chciał powiedzieć, ale sunąc wzrokiem wśród cicho opadających płatków śniegu ku siedemnastemu piętru Searle House, niemal to słyszałem.

Kłęczał między nimi wściekły i przygnębiony, czując ciążącą na nim odpowiedzialność i wiedząc, że nie ze swej woli stał się ich opiekunem i rzecznikiem. A także mścicielem. I gdy ekipa śledcza wróciła, raz jeszcze spojrzał na buzie dziewczynek i zbieleły oczy i przysiągł sobie, że znajdzie tego, kto im to zrobił.

A potem nie dotrzymał przysięgi.

Wszystko, co mu się później przydarzyło, wszystkie jego krętownice i wypadki miały źródło w tej chwili. No właśnie. Ta sprawa go pokonała i zakończyła jego karierę policyjną. Zrujnowała mu życie osobiste i wbiła klin między niego a żonę i dzieci.

Była początkiem końca.

4

Motel wyglądał jak opustoszały. Na parkingu nie było prawie samochodów, wszędzie leżały kupy brudnego, mokrego śniegu, a bezlistne szkielety drzew wyginały się w podmuchach wiatru znad rzeki. Healy czekał na mnie w barze, w tym samym boksie co wczoraj. Przeprosiłem go za spóźnienie, bo zboczenie do New Cross i korki na drogach spowodowały, że dojazd do motelu potrwał dłużej, niż się spodziewałem, ale Healy nie kiwnął nawet głową. Siedział ze wzrokiem utkwionym w teczce z aktami, więc mu ją wręczyłem, a sam poszedłem do baru zamówić coś do picia dla nas obu.

Gdy wróciłem z kawami, zdążył już przejrzeć jedną trzecią zawartości teczki. Przerzucał kolejne kartki, odświeżając w pamięci przebieg własnych przesłuchań i ustalenia pracujących pod jego kierunkiem śledczych. Wydawało się, że nic go w tych raportach nie zaskoczyło, bo na jego nieruchomej twarzy nie odbijały się żadne emocje, czułem jednak, że to tylko poza. Zbyt dobrze go znałem i zbyt dużo wiedziałem, aby uwierzyć, że nic nie czuje, rozdrapując niezagojoną ranę. Czytał te akta po raz pierwszy od zwolnienia z Policji Metropolitalnej. Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy znów był blisko tej trójki, ich śmierci i własnych blizn po tej sprawie. Nawet jeśli nie dawał tego po sobie poznać, musiało to nim wstrząsnąć. Bez słowa wyjął z teczki trzy kartki i odłożył na bok. Fotografie trzech ofiar.

Gail Clark.

Abigail.

April.

Nie chciał ich trzymać w teczce z aktami pełnymi krwawych opisów, cierpienia i ślepych zaułków w śledztwie. Machinalnie położywszy lewą rękę na odłożonych fotografiach i rozczapierzywszy na nich palce, powrócił do przeglądania dokumentów.

Dobrnienie do końca teczki zajęło mu pół godziny.

Spojrzał na mnie ze zgnębioną miną i sięgnął po kawę, która całkiem już wystygła.

– Czytałeś coś z tego? – spytał, odstawiając kubek.

– Trochę.

– Ale nie wszystko?

– Nie, wolę, żebyś mnie przez to przeprowadził.

Popatrzyłem na teczkę i zobaczyłem na wierzchu kolejne, niezbyt ostre, kolorowe zdjęcie całej trójki. Przyjrzałem się bliźniaczkom i kobiecie, która wydała je na świat, odnotowując, jak bardzo wszystkie trzy były do siebie podobne: miały taki sam kolor włosów, takie same nieznaczne wklęśnięcie nosa, taki sam uśmiech z jednym kącikiem ust uniesionym nieco wyżej niż drugi. Gail była szczupłą, skórę na szyi miała lekko pomarszczoną i obwisłą, jakby za szybko zrzuciła zbyt dużo kilogramów. Cerę też miała nie najlepszą. Skóra wokół ust była usiana piegami, na czubku brody zostały jej ślady po młodzieńczym trądziku. Bliźniaczki odziedziczyły po matce ciepłe spojrzenie oczu jak kleksy idealnie niebieskiego atramentu, bez żadnych niedoskonałości, jakie pojawiają się z wiekiem. Były po prostu śliczne. Patrzyłem na nie, nie mogąc oderwać wzroku i czując, jak w środku znów się we mnie coś burzy.

– I co o tym myślisz? – spytał.

Spojrzałem na niego.

– O czym?

– O tym, co przeczytałeś?

Przeglądając akta, raz jeszcze z podziwem pomyślałem, jak skrupulatnie prowadził śledztwo. Jak wynajdywał i uporczywie badał poszlaki, jak tworzył i zarzucał teorie, jak konsekwentnie, a zarazem taktownie drażył tematy podczas przesłuchań. Nie pasowało to do człowieka, którego znałem od dwóch lat, ale doskonale pasowało do tego, którego poznałem w sieci. Z akt wycierał znający się na rzeczy i myślący policjant. Masywnie zbudowany mężczyzna, który na konferencjach prasowych umiał stawiać czoło bandzie reporterów, bez trudu odpowiadać na ich zaczepki i nie patyczkować się ze złośliwościami tabloidów. Był cenionym przez zwierzchników i kolegów z Metropolitalnej śledczym, nie wrakiem człowieka, którego w końcu usunięto z policji.

– Raker?

– Chyba zrobiłeś wszystko, co należało.

– Ale musiałem coś przeoczyć.

– Tego nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Ale spróbujemy do tego dojść.

Zamówiliśmy dzbanek świeżej kawy i przystąpiliśmy do pracy.

Postanowiłem zostawić Healy’emu wolną rękę w sposobie przedstawienia działań śledczych i ograniczyć się do robienia notatek. Jeśli nasuwało mi się jakieś pytanie, przerywałem mu i zadawałem je, ale głównie słuchałem w milczeniu. Od samego początku było widać, że ma niezwykłą pamięć do szczegółów, którą zapewne dodatkowo odświeżyło zajrzenie do akt. Parę razy przyciągnął do siebie teczkę, zajrzał do środka i sprawdził jakiś szczegół, przede wszystkim jednak mówił z pamięci.

– Wiedziałaś, że była wyleczoną narkomanką? – zapytał.

– Kto, Gail?

– Nie podaliśmy tego nigdy do publicznej wiadomości, bo gdy tylko zaszła w ciążę, od razu poszła na odwyk i na dobre

się uwolniła. W chwili śmierci była czysta już od blisko dwięciu lat. Mimo to przymknęliśmy miejscowego dilera, który zaopatrywał ją w dawnych czasach. Przez te wszystkie lata zniszczył życie wielu mieszkańcom New Cross, więc nie było trudno go znaleźć. Ale to nie był on. Kazałem też jednemu z moich ludzi skontaktować się z tamtejszą opieką społeczną. Chciałem się upewnić, że czegoś nie przegapiliśmy, na przykład maltretowania bliźniaczek, braku odpowiedniej opieki, tego typu rzeczy, ale nie usłyszeliśmy żadnych skarg. Pamiętam, że kilka dni później rozmawiałem z jedną z jej przyjaciółek. – Umilkł i zajął się akt, by odszukać odpowiedni fragment protokołu. – Cytuję: „Gail była słodka, tylko niech mnie pan źle nie zrozumie, ale po tych swoich problemach z prochami chyba po prostu się bała, że historia może się powtórzyć, i całkiem się wyłączyła. Właściwie od urodzenia bliźniaczek ani razu się z nami nie spotkała, bo pewnie wolą nie wystawiać się na pokusy. Zrobiła się prawdziwym odludkiem”.

Healy skończył czytać i przeniósł spojrzenie na zdjęcie Gail.

– Z jednej strony znaczyło to – mówił dalej – że z listy potencjalnych przyczyn jej śmierci mogliśmy wykreślić wszelkie powiązania narkotykowe. Z drugiej brak kontaktów z ludźmi znaczył, że nikomu z niczego się nie zwierzała. Większość przesłuchań tak zwanych jej przyjaciółek była stratą czasu.

– Jednocześnie coś studiowała, prawda?

– Historię i nauki społeczne. Ale były to zajęcia na Uniwersytecie Otwartym, więc nie wymagały kontaktów z innymi słuchaczami. Kurs był zaoczny w zmniejszonym wymiarze godzin i trwał chyba sześć lat. Nawet ze swoim opiekunem kontaktowała się wyłącznie pisemnie, nie chodziła na wykłady i nie spotykała innych studentów. Zjawiała się tylko na egzaminy końcowe. Ostatnią pracę zaliczeniową napisała tydzień przed śmiercią. – Przerwał, obejmując dłonią kubek z kawą i spuszczać wzrok. – Zadzwoiłem do UO parę miesięcy póź-

niej i spytałem, jak jej poszło. Zaczynało już wtedy do mnie docierać, że nie został nikt, kogo choć trochę obchodziłoby to, czy zdała.

– I co, zdała?

Healy pokiwał głową.

– Z wyróżnieniem.

– A co z jej rodzicami?

– Nie żyją.

– Żadnego rodzeństwa?

– Nie. Udało nam się tylko odnaleźć kuzynkę, Ericę Swiddle. Ale kuzynka mieszkała w Liverpoolu, więc rzadko się spotykały. Swiddle powiedziała, że co parę miesięcy do siebie dzwoniły i gadały przez telefon. I to wszystko.

– A ojciec?

– Ojciec dziewczynek? Kevin Sims. Szkoda było tracić czas. Nikt nie powiedział o nim dobrego słowa. W lutym dwa tysiące pierwszego roku poznali się z Gail w pubie w Peckham. On miał dwadzieścia cztery lata, ona dwadzieścia jeden. Pięć miesięcy później zaszła w ciążę. Przesłuchaliśmy matkę Simsa, która wtedy jeszcze żyła. Oświadczyła, że syn nigdy nie wspominał o żadnych dziewczynach. Nawet nie wiedziała, że jest babcią, możesz uwierzyć w coś takiego? – Healy zamilkł i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Jediną osobą, która umiała nam coś powiedzieć o Simsie, była kuzynka Gail, ta Swiddle. Wspomniała, że Sims dał nogę chwilę po tym, jak Gail powiedziała mu o ciąży. Zmył się od razu, a po sześciu miesiącach od narodzin bliźniaczek zabił się na autostradzie M23, gnając sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Zginął na miejscu?

– Tak.

Uzupełniłem coś w swoich zapiskach i gdy uniosłem głowę, Healy znów siedział ze wzrokiem wbitym w okno, zaparty jak wczoraj na parking.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

Spojrzał na mnie.

– Tak, w porządku.

– Możemy iść dalej?

Wiedział, o czym mówię. Wspomnienia, wałkowanie sprawy, objaśnianie szczegółów chyba go nieco ożywiły i nawet nabrał trochę kolorów. Ale dopiero zaczęliśmy.

Najgorsze było jeszcze przed nami.

Wciągnął głęboko powietrze i kiwnął głową.

– Dobra – rzuciłem. – To opowiedz mi teraz, co znalazłeś w tym mieszkaniu.